

MARCIN MARSZALEC

Zespół Szkół nr 10 im. Stanisława Staszica

KATEGORIA: SŁOWA – KLUCZE

„PIEKŁO NA ZIEMI”

Rok 2030. USA, UK, Francja, Hiszpania, Włochy, Polska i Chiny wypowiadają wojnę Korei Północnej za zajęcie terenów Korei Południowej. Rosja, Japonia, Australia, Indie i Emiraty Arabskie wspierają Koreę w walce. Rozpoczyna się Trzecia Wojna Światowa. Przez dwa lata potężne siły obu stron konfliktu walczą ze sobą w krwawej wojnie, lecz nikt w niej nie przeważa. W końcu, w 2033 roku siły agresora zaczynają przegrywać. **Lęk** i presja wywierana na Kim Dzong Un'a powoduje, że odpala on głowice nuklearne na swych przeciwników. Wraz z Koreą reszta państw również odpala swoje głowice nuklearne. 24 grudnia 2033 roku głowice uderzają w każde państwo.

Tamtego dnia nastąpił koniec świata. Gdy to się stało miałem zaledwie rok. Moja rodzina mieszkała w Warszawie, na Tarchominie. Gdy doszła nas wiadomość o zbliżających się raketach, moja rodzina zabrała mnie i spakowała kilka najpotrzebniejszych, rzeczy po czym ruszyła w kierunku Warszawskiego metra, by się schronić przed eksplozją. Najbliżej nas była stacja Młociny i to tam się schroniliśmy. Teraz mamy rok 2053, minęło dwadzieścia lat od tamtego wydarzenia. Przez ten czas życie w metrze się ustabilizowało. Na samym początku było najciężej. Pociski anty-rakietowe przechwyciły głowicę lecącą w stronę Warszawy i spadła ona na Nadarzyn. Fala uderzeniowa była ogromna, ale większa część Warszawy przetrwała. Minusem były następstwa - promieniowanie i opad radioaktywny. To z ich powodu, gdy miałem trzy lata, zginęli moi rodzice. Pod swoje skrzydła wziął mnie dzisiejszy przywódca naszej stacji, mający czterdzieści cztery lata, wujaszek Jakub. Wujek był byłym wojskowym przez co wyrosłem na naprawdę silnego faceta, aczkolwiek nigdy nie zapomnę przez jakie treningi musiałem przejść, by osiągnąć obecną formę. Dziś właśnie kończę dwadzieścia lat i to dziś dostałem swoją pierwszą misję.

Siedzieliśmy z wujaszkiem i jego przyjacielem Markiem w namiocie i opijaliśmy moje 20 urodziny.

- Gratulacje ukończenia dwudziestu lat życia w tym okropnym świecie Aleksander! - zaczął wujek.

- No to śmiało, zdrowie! - dodał Marek.

Wszyscy wypiliśmy po sporym łyku bimbrowego na naszej stacji.

- No to teraz czas na prezenty. Ten jest ode mnie.

Spojrzałem na prezent i jego kształt wydał mi się znajomy. Zacząłem otwierać i po chwili już wiedziałem co to było. A była to książka w dobrym stanie, pokazująca świat przed katastrofą.

- Panie Marku skąd pan wiedział?

- Ostatnio, gdy był u nas handlarz, widziałem jak ci się oczy świeciły, kiedy patrzyłeś na tę książkę. Pomyślałem więc, że ją kupię, skoro zbliżają się twoje urodziny. I jak, podoba się?

- Dziękuję jest świetna.

- Dobra to teraz prezent bardziej praktyczny od twojego wujaszka. Proszę.

Wujek podał mi dziwnie wyglądający przedmiot, którego nigdy dotąd nie widziałem, coś jakby pistolet ale dłuższy. Odpakowałem i moim oczom ukazała się broń przypominająca pistolet.

- Jest to moja stara broń, młokosie. Była to moja pierwsza broń którą dostałem po wstąpieniu do wojska. Rewolwer model Magnum 44. Dbałem o niego, jak tylko mogłem, bo wiedziałem, że kiedyś się przyda. No i się przydał. Teraz jest to bardzo rzadki rodzaj broni z powodu swojej pojemności. Posiada tylko sześć komór na pociski, ale jak przywalisz takim mutkom z bliska, to gwarantuję, że zmienią się w przyjemną czerwoną papkę. I co myślisz?
- Na początku się trochę zdziwiłem, ale teraz chciałbym go wypróbować. Niestety o tej godzinie lepiej nie wychodzić na powierzchnię.
- To co, jeszcze po łyku, młokosie, czy już odpadasz?
- Polewaj.

Piliśmy i rozmawialiśmy dalej. Czasem się śmialiśmy. Potem pan Marek zaczął opowiadać **tajemnicze** historie, chociaż większość z nich i tak nie była pewnie **prawdziwa**. W pewnym momencie usłyszeliśmy zbliżające się kroki. Słychać było podkute buty, więc myślałem, że to wojskowi. Byli bliskimi znajomymi wujka, często go odwiedzali i nikt się nie dziwił ich wizytom. Mieli niedaleką drogę do naszej stacji. Okupowali oni dwie stacje: Marymont i Plac Wilsona. Do namiotu wszedł Koza, bliski przyjaciel wujka. Wyglądał na około czterdzieści lat i sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Cała jego twarz poznaczona była bliznami - śladami po różnych walkach. Kiedyś spytałem wujka, czemu wszyscy nazywają go Koza. Okazało się, że to przez brodę którą miał. Podobno kiedyś zwierzęta nazywane kozami miały podobnej długości brody i tak już zostało. W wojsku podobno nie dbano już o imiona i nazwiska jak kiedyś, teraz wszystko opierało się na ksywkach, takich jak Koza.

- Kuba jest sprawa. Potrzebujemy twojej pomocy, ale musimy pogadać w cztery oczy.
- Jest dobrze Aleks, to mój dzieciak, nic nie powie, już ja tego dopilnuję. A Markowi nikt już nie wierzy, bo takie głupoty gada, więc spokojnie możesz mówić. Siadaj. Nalać ci?
- Tylko odrobinę na rozluźnienie języka i by pozbyć się promieniowania.

Koza pociągnął z kubka, przełknął i spojrzał na nas, po czym odwrócił głowę w stronę wujka i zaczął mówić.

- Wczoraj o 6:52 zarejestrowaliśmy sygnały Morse'a pochodzące z drugiego brzegu Wisły i to z terenu dawnej Białoleki. Sygnały powtarzały się co chwilę do 7:15. Ktoś raz po raz wzywał pomocy. Wiesz co to oznacza? Wiadomość natychmiast poszła do dowództwa i zbrali grupę ośmiu najlepszych stalkerów. Wynajęli nawet Ducha, by nam wskazywał drogę. Ja jestem dziesiątym, ich kapitanem. Będziemy mieli zamiar wyruszyć tam jutro przez Most Północy.
- I co to ma do mnie?
- Otóż, dowództwo dało nam ograniczony zapas amunicji i prowiantu, i potrzebujemy skorzystać z waszych tuneli, by nie wpaść na jakieś mutki. Ewentualnie mógłbyś dać nam jeszcze kilku ludzi.

Wujek nalał sobie bimbrowa i pociągnął dłuższy łyk. Chwilę poczekał, popatrzył na nas, na Kozę i zaczął:

- Przykro mi ale nie pomogę. Wiesz czyj to teren i co się dzieje gdy się go narusza.
- On nie pokazywał się od pięciu lat. Podobno już nawet nie żyje. Tak gadali na Wawrzyszewie, kiedy zbieraliśmy o nim informacje. W końcu miał co roku przychodzić do ciebie, a od pięciu lat się nie pokazywał, czy tak?
- Niby tak, ale nigdy nie wiadomo, czy mu się to po prostu nie znudziło albo nie zdziaczał jeszcze bardziej. Poza tym, to jest niebezpieczne. Po prawej stronie Wisły panuje on i jeszcze Watażkowie, a z nimi nie chcesz się spotkać.
- Przepraszam ale o kim mówimy? - wtrąciłem im się w rozmowę.
- Nie wiesz dzieciaku o kim mowa? Nie wiesz o demonie mieszkającym na Białolece? - zapytał Koza.
- Nigdy mu o nim nie mówiłem. - zaproponował wujek.
- Więc słuchaj młody. Tuż po katastrofie ludzie zaczęli gromadzić się w metrze na różnych stacjach. Niestety tylko lewa część Warszawy posiadała metro z grodziami odpornymi na promieniowanie, prawa już nie. Tam z powodu promieniowania narodzili się nowi ludzie zwani Watażkami. Są to mało rozumne plemiona, bardzo prymitywne jeśli chodzi o narzędzia, ale bardzo potężne jeśli chodzi o budowę ciała i wytrzymałość. Zazwyczaj sięgają od dwóch metrów wzwyż. Są bardzo silni i szybcy, mogą nago walczyć z większością mutantów, ale, jak wiesz, panują oni w południowej części prawobrzeżnej Warszawy. W takim razie co panuje w północnej? Nikt tego nie wiedział, więc zaczęto się tam zapuszczać. Niestety nikt, kto przekroczył Most Północny nie wrócił. Raz posłano tam całą ekipę wojskowych. W pełni uzbrojonych dwudziestu ludzi tamtego dnia po prostu znikło. Po trzech dniach robili za ozdobę na moście. Ich ciała były poprzyczepiane do słupów. Niektórzy nie mieli kończyn, inni głów, a po niektórych zostały tylko nieśmiertelniki. Wiadomo tylko tyle, że pewnego razu przyszedł stamtąd człowiek. Był odziany w szary płaszcz z kapturem, który zasłaniał jego twarz. Chciał rozmawiać z dowódcą. W czasie rozmowy zażądał, by żaden człowiek nie wchodził na jego teren, a on w zamian nie będzie ruszał naszych. Przez ten czas działy się dziwne rzeczy i jeszcze dziwniejszych sposobów ludzie próbowali, aby jednak dostać się na drugi brzeg. Powstało masę legend o skarbach jakie skrywa to miejsce, ale nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić, czy to prawda. Od pięciu lat nikt nie słyszał o człowieku w szarym płaszczu. Nikt go nie widział, ale ludzie wciąż boją się tam iść. Dlatego jest nas dziewięciu plus ten Duch.
- A kim jest ten Duch?
- To najemny łowca specjalizujący się w zabijaniu mutantów. On jedyny był gotów wybrać się z nami, choć zażądał wysokiej zapłaty. No i jak młody, przestraszony?
- Nie. Chcę z wami tam pójść!
- Mowy nie ma.
- Ale wujku...
- Życie ci niemiłe? Co już chcesz umierać? Każdy kto tam idzie ginie. Nieważne kto i jak uzbrojony to zawsze kończy się śmiercią i śmiercią się kończyć będzie.
- Wujku...
- Kuba pozwól młodemu iść, jeśli chce. Jest przecież dorosły. Poza tym, naszą misją jest dojść na teren Białoleki, sprawdzić sygnał i to wszystko. Nie będziemy specjalnie

szukać tego, kto nadał sygnał albo strzelać się z mutkami, lub, tym bardziej, z Watażkami.

- Właśnie wujku, jestem już dorosły i już sam mówiłeś, że to czas, bym sobie szukał roboty. Wojsko pewnie dużo płaci?
- Płacą ci 500 naboji ostrej amunicji. Dodatkowo rzeczy, które znajdziemy po drodze są twoje. Możesz je zabrać jeśli chcesz. Ale płacą dopiero po wykonanej misji. To dlatego większość nie chciała iść, ale cóż, ostrożności nigdy za wiele. Amunicja nie rośnie na drzewach, a tym bardziej nie ostra.
- Zgoda. Jak chcesz dzieciaku, to ruszaj z nimi, ale potem nie nawiedzaj mnie jako duch po śmierci.
- Dobra! Gdzie i o której mam się pojawić?
- O 7:00 spotykamy się na peronie: pięć minut sprawdzenie sprzętu, prowiantu i ekipy, i idziemy do tuneli. Powinniśmy o 7:15 znaleźć się na powierzchni. A propos, co z twoim kolegą, Kuba?
- Marek chyba zasnął? Tak zasnął. To i tak jego namiot, chodźmy stąd do mojego namiotu. Tam omówimy sprawy wsparcia was zapasami. A ty, Aleks, idź do swojego namiotu i połóż się spać. Musisz się wyspać.
- Dobrze, dobrze.

Wyszliśmy z namiotu - na stacji panował spokój, ludzie spali. Gdzieś palilo się pojedyncze światełko. Wróciłem do namiotu razem z prezentami, ale wiedziałem, że już nie zasnę. Byłem zbyt podekscytowany. Położyłem się na starym kocu, który kiedyś mógł być brązowy ale był już tak zużyty, że jego kolor bardziej przypominał odcień szarego. Przez jakieś pięć minut przewracałem się po kocu nie mogąc zasnąć. Jednak w końcu sen przyszedł...

Po kilku godzinach obudził mnie wujek. Był już ubrany w swój bezrękawnik, w którym zawsze się pokazywał i brudne dresy. W jednej ręce trzymał nieśmiertelnik, a w drugiej miał jakąś łuskę po pocisku.

- Obudziłeś się? - zapytał.
- Teraz już tak. Trochę za mocno mną potrząsałeś, by dalej spać.
- Już czas się zbierać. Poza tym chciałem dać ci coś jeszcze. Po pierwsze, nieśmiertelnik zrobiony przeze mnie, z wrytym twoim imieniem i miejscem na ksywkę, która nadadzą ci wojskowi, po misji. Będą mogli cię dzięki temu zidentyfikować, jeśli zginiesz. Drugą rzeczą jest ta szczęśliwa łuska. Należała do mojego ojca, gdy służył jeszcze w wojsku. To łuska po pocisku, którym pokonał światowy rekord strzału z karabinu snajperskiego. Zawsze dodawała mu szczęścia, potem dodawała go mi i teraz mam nadzieję, że przyniesie je tobie i powrócisz do mnie cały i zdrowy.

Poczułem jak zbierają mi się lzy. Szybko przetarłem oczy i podziękowałem wujowi. Następnie zacząłem zabierać wszystkie rzeczy. Wziąłem ze sobą licznik Geigera, racje żywnościowe, trochę amunicji, podstawowy, stary AK-47, Magnum, szczęśliwą łuskę i zestaw pierwszej pomocy. Nieśmiertelnik założyłem na szyję i przebrałem się w strój bojowy, który otrzymałem dawno od wujka. Byłem gotowy. Wyszedłem z namiotu. Na peronie stało już stało dziewięciu uzbrojonych, okutych w ciężkie pancerze wojskowych.

Obok nich stał gość w skórzanym kombinezonie i czarnym jak noc płaszczu. Podbiegłem do nich:

- Patrzcie kto przyszedł. - odezwał się Koza.
- Jestem już gotowy. - odpowiedziałem.
- Świetnie! Sprzęt u nas sprawdzony, to teraz pora byś poznał chłopaków. Zbiórka do szeregu!

Stanęli w szeregu szybko i bez przeszkód, widać było że panuje u nich dobra dyscyplina.

- I teraz po kolei: Zoltan, Kary, Biały, **Topielec**, Ken, Adolf, Harry, **Malina** i ja - Koza, a tam dalej stoi Duch.
- Miło mi. - powiedziałem i się ukloniłem.
- Późno już, powinniśmy iść. - powiedział Duch.

Pierwszy raz coś powiedział, ale tego się nie spodziewałem. Jego głos był wyższy niż się wydawało, można by pomyśleć że jest nawet młodszy ode mnie.

- Racja powinniśmy już iść. Oddział wymarsz, Zoltan prowadzisz z Duchem, ja z Adolfem kryjemy tyły, reszta idzie w środku formacji dwójkami, tak, by druga osoba chroniła martwą strefę pierwszej osoby.

Skończyło się na tym, że szedłem ramię w ramię z Maliną. Byłem ciekaw, czemu go tak nazwali, ale nie było czasu o to pytać. Doszliśmy do mniejszych drzwi, odchodzących gdzieś w bok od tunelu metra. Z tego miejsca dwóch strażników zabrało nas do bocznego tunelu prowadzącego na powierzchnię. W czasie marszu byłem coraz bardziej podekscytowany wyprawą i nie mogłem się doczekać, co zobaczę po drugiej stronie Wisły. Wreszcie podeszliśmy pod klatkę schodową prowadzącą w górę. Stąd tylko dwa piętra wzwyż i powinny być drzwi na powierzchni. Zoltan zaczął wchodzić po schodach pierwszy, ja byłem trzeci w kolejności. Zanim dotarliśmy do drzwi Zoltan i Duch odbezpieczyli broń. Następnie Duch otworzył drzwi a Zoltan spróbował coś zobaczyć.

- Te, Duch, **nie przeszkadzaj mi widzieć**, bo jak coś tam będzie, to nie będę miał jak strzelić.
- Chyba patrzeć? - powiedziałem.
- Cisza! - natychmiast rozkazał Duch.

Staliśmy pod drzwiami już dobre dwie minuty i nic się nie działo. Nie wiem na co czekał Duch. Wreszcie na górę wszedł Koza, by zapytać o co chodzi. Jak się okazało przed nami była anomalia: „**Laka**”. Musieliśmy poczekać, aż się przemieści, ale wreszcie wyszliśmy. Na powierzchni było ponuro. Niebo było szare, nie widać było słońca. Obok drogi na most rozciągał się niski las, gdzie właśnie coś się poruszyło. Jak na gwizdek wszyscy odbezpieczyli i podnieśli broń. Tylko duch nic nie robił, tak jakby wiedział co tam jest.

- Spokojnie. To nic, tylko wzrok płata wam figle. A teraz podążajcie za mną w ciszy. I pamiętajcie: jeśli spotkamy ludzi, to mogę się zastosować do waszych taktyk, ale jeśli na naszej drodze pojawi się anomalia albo jakiś mutant, od razu robicie co wam powiem. - stanowczym głosem powiedział Duch.

Krótkimi krokami zbliżaliśmy się do mostu. Z daleka można było już zobaczyć, że coś jest na moście, ale nie byliśmy pewni co to było. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy. Na moście na słupach wisieli ludzie, wszyscy martwi. Dookoła nich wisiało pełno tabliczek „Zagrozenie” i „Zawrót”.

- Czyli on żyje. Dobra zwarty szyk i ruszamy. Duch prowadzisz! - rozkazał Koza.

Zebraliśmy się w szyk i ruszyliśmy. Tym razem szliśmy naprawdę wolno. Każdy był spięty i prawdopodobnie przeczuwał, co zaraz się stanie...